Rok I. Kraków, dnia 1 Lutego 1883. Nr. 3.

Przedpłata wynosi: dla Publiczności: w miejscu: rocznie . . zł. 4.50, półrocznie . „ 2.25; z przesyłką pocztową: rocznie złr. 5.—, „ mrk. 9.—, „ fr. 11.—, półrocznie złr. 2.50, „ mrk. 4.50, „ fr. 5.50

PRZYSZŁOŚĆ

Organ poświęcony młodzieży polskiéj.

Przedpłata wynosi: dla ucz. się młodzieży: w miejscu: rocznie. . . złr. 2.50, półrocznie . „ 1.25; z przesyłką pocztową: rocznie złr. 3.—, „ mrk. 5.30, „ fr. 6.50, półrocznie złr. 1.50, „ mrk. 2.70, „ fr. 3.25

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Ul. Św. Anny l. 5. (naprzeciw Coll. Phisicum).

Ajencya: u p. Kuklińskiego w hali Sukiennic l. 5. — Numer pojedynczy 20 ct.

Dwadzieścia lat minęło, jak bracia nasi popchnięci gwałtami i tyranią do ostateczności, schwycili za broń przeciw moskiewskiéj przemocy.

Wszędzie, gdzie język polski wolném odzywa się słowem, gdzie młodzież polska ma możność wypowiedzieć, co myśli i czuje — uczczono pamięć bohaterskiéj walki.

Dwadzieścia lat, to przeciąg czasu, w którym wyrasta całe pokolenie. Kilkoletnie pacholę, klęczące podówczas na mogile zamordowanego ojca lub brata, jest dzisiaj wstępującym w życie młodzieńcem.

Darmo wysilali się gasiciele narodowego ducha przez ten długi przeciąg czasu, by mogiły kamieniami potępienia zawalić: darmo wytoczyli wszystkie sikawki, by stłumić ogień miłości wolności i Ojczyzny.

Pacholęciu brzmiała w duszy zasłyszana u kolebki piosenka żałoby — w snach strasznych migały mu nieraz okropne obrazy szlachetnéj a bezsilnéj walki, o któréj często w domu w długie zimowe wieczory gwarzono ze łzami.

I nauczyło się kochać to, co kochali pomordowani bojownicy wolności — i rozpalił mu się w duszy nieugaszony ogień miłości swobody, i nienawiści gnębiciela.

Lecz te dwadzieścia lat czasu, tak szybko biegnącego w XIX stuleciu, nie pozostały dla nas bez śladu — kamienie i sikawki i nam się przydały.

Bo oto zapytaliśmy siebie: czemu padło to, co było szlachetnem i wzniosłem, czemu brutalna ręka kata mogła zdusić na nowo powstający do życia naród.

I przekonaliśmy się, że nie dość mieć wielki i święty cel przed oczyma, ale trzeba mieć siłę, by go osiągnąć. Przekonaliśmy się, że w twardéj walce życia „siły“ na „zamiary“ mierzyć nie można. Oni byli romantykami, nam po dwudziestu latach krwawego doświadczenia nimi być nie wolno.

Ukochaliśmy całą duszą ich ideały, ale podjęliśmy dla nich cięższą jeszcze i stokroć boleśniejszą walkę niż na polu bitwy, bo walkę powolną, cichą, żmudnéj a nieustannéj pracy; walkę trudną, bo nawet z sobą samemi.

A ta ostatnia najcięższa.

W żelaznéj woli kajdany zakuliśmy młode serce i uczucie wyrywające się z piersi, by nie wybuchło przed czasem, by wróg wsparty na milionach bagnetów nie mógł nam bezsilnym urągać.

I postanowiliśmy pracować jak on „wysłannik ziemi mogił i krzyżów“, choćby serce w łonie zaschnąć nam miało, postanowiliśmy ukochać lud życiem, tak jak oni go śmiercią ukochali, postanowiliśmy dać mu obywatelstwo ducha, jak oni dłań fizyczne — krwią swą zdobyli.

I wytrwamy w pracy, bo wierzymy, że po latach wielu, jeśli nie my to potomkowie nasi staną silni potęgą świętości sprawy i siłą milionów, a wtedy zorza wolności rozleje się nad biedną naszą Ojczyzną!

Dziś wraz z całą polską młodzieżą rzucamy wieniec na groby męczenników, bo choć podążamy nowemi drogami, to ideały ich naszymi ideałami, a od nich pragniemy się uczyć miłości i poświęcenia dla sprawy.

POGADANKA.

Zadrgały w młodzieży tętna nowe...

Że nowe, znać — bo nie zrozumieli ich starzy, a żywioły zachowawcze przyjęły je z krzykiem trwogi i nienawiści.

Młodzież nie wiedziała sama co wskrzesza; zapatrzonéj w światła przyszłości nie uderzyło nadzwyczajnością światełko skrzesanéj iskry, aż ją ostrzegły krzyki puszczyków bijących ciemnemi skrzydłami na blask niemiły. Wprawdzie powiedziano jéj znowu potem, że to nic nowego, ale pamiętamy słowa jednego z historyków cywilizacyi, że każdą nową ideę naprzód okrzyczą za głupią, potem przeżegnają się nad nią jakoby sprzeciwiała się tradycyi i religii, nakoniec oznajmią że dawno to już było, że to więc nic nie jest. I my też wiemy, że te argumenta „już były“; nie imponują nam więc. Tę tylko stąd weźmy naukę, że każda nowa idea, która ma zwyciężyć, musi przetrzymać te trzy fazy walki: najpierw szyderstwo, potem nienawiść, potem, co najtrudniejsza, nicość. Człowiek, który pokona namiętności jest silny, ale najsilniejszy ten, który zwycięży próżnię w własnéj piersi. Tak i idea; naj-

tęższym jéj probierzem jest: czy w próżni nie zgaśnie. Zgaśnie w niéj pusta „nowinka“; toż za marne miejmy zarzut nowe to czy nie nowe co niesiemy. Stare czy nowe — to dobre co ma treść zdrową.

Nad treścią prądu, który między nami powstał i odrazu zatoczył kręgi szerokie, zastanówmy się przedmiotowo. Opiszmy fakt, sięgnijmy do jego źródła, do przyczyn; zrozumimy go poznawszy jego łączność z innemi kierunkami naszego życia społecznego, zrozumiawszy zdołamy wnioski wyciągnąć.

I.

Nazywają nas pozytywistami. I my tę nazwę przyjmujemy. A lubo ona oznaczając tylko kierunek naukowy nie wyczerpuje całéj treści prądu, podnosi wszakże ważną i wielce charakterystyczną jego cechę, tak nawet charakterystyczną, że poniekąd cały prąd znamionuje, a przynajmniéj stanowczą daje mu barwę. Stąd to, a także i stąd, że z saméj natury rzeczy prąd ten dziś tylko w kierunku naukowéj teoryi całkiem jasno przejawiać się może, nazwą pozytywizmu ochrzczono go cały. Niechże się więc nazywa! My nie nazwę ale treść rozbierzmy, a naprzód pomówmy o jednéj jéj stronie, o pozytywizmie we właściwem znaczeniu.

Z chaosu pojęć w jaki pojęcie pozytywizmu wmięszała nieświadomość lub zła wola, z naleciałości jakich żadnemu prądowi nie braknie, wyjmijmy prawdę i oczyśćmy istotę rzeczy. Cóż jest pozytywizmu istotą? Ojcem jego zowią Augusta Comte'a; czy więc dość przedstawić naukę Comte'a, aby określić pozytywizm? Słowem czy Comte'yści a pozytywiści to tosamo? — Nie; — może kto powiedzieć, że tak być powinno, ale rzeczywiście tak nie jest. Stwierdzić bowiem należy, że mimo wszelkich możliwych zastrzeżeń, mimo krytyki wykonywanéj w mniejszéj lub większéj rozciągłości, odnosimy się chętnie do pewnych powag naukowych, jako do mistrzów. Między temi powagami znajdują się zaś uczeni, którzy ostremu sądowi poddali naukę Comte'a n. p. Spenzer lub Huxley, — między temi powagami wielkie zachodzą różnice zdań: Spenzer wprost oświadcza, że nie jest Comte'ystą, Buckle różni się w swych poglądach od Spenzera, Littré pisze apologią mistrza... Jeżeli więc te tak różne powagi uznajemy za swoje, widzimy znać w nich wspólność jakąś; wspólność ta nie może je wprawdzie łączyć w pewną naukową szkołę, bo zanadto od siebie odbiegły, ale zaznacza ona prąd pewien, znać szeroki, skoro w nim tak wielkie mogą być różnice i oddalenia, a jednak jest on zawsze jednym tylko prądem. Istnieje więc pewien prąd z którym sympatyzujemy, prąd ludzkościowy, bo objawiający się wszędzie. Określając tedy nasz kierunek, określmy naprzód najszersze jego granice, zatem granice które te same są co granice wytyczające ów prąd, całą cywilizowaną ludzkość przebiegający. Jakież to są granice? co zamykają, dokąd się ciągną? Wyjdźmy od źródła, od miejsca, w którem wielka ta gałąź od wspólnego pnia dziejów się odłącza.

...W czasach zamierzchłych człowiek spoglądał na otaczający go świat, nie widząc w nim nic tylko same fakta oderwane, zjawiska, których nie umiał objaśnić ani skojarzyć. To co było najzwyklejszem, to nie pobudzało jego uwagi; kamień spadał, woda płynęła; nie przychodziło mu na myśl zjawiskom tym dawać objaśnienia. Kamień spada, bo spada, woda płynie, bo płynie. Były jednak zjawiska bardziéj pobudzające uwagę: bądźto że były rzadsze, bądźto że zależało na tem, aby je wywoływać lub oddalać. Te najpierw wyzywały do objaśnień. Tłómaczył więc je sobie człowiek w sposób, w jaki najpierw przyszedł do pojęcia przyczyny i skutku. A najpierw przyszedł on do tego pojęcia we faktach, gdzie najbliżéj i najwidoczniéj skutek z przyczyną się kojarzy. Wiedział on: kiedy chcę, krzyczę, kiedy chcę, jem, kiedy chcę, zabijam. Grzmot krzyczy, ogień pożera; piorun zabija: bo chce. Grzmot, ogień, piorun, są to istoty, tak jak inne zwierzęta.

Pogląd taki, to zoomorfizm *).

Bo dobrze - myślał pierwotny człowiek, — kamień spada, lecz spada gdy go ktoś rzuci; ale grzmot, ogień, piorun, te same ze siebie powstają. Powoli jednak nauczył się człowiek robić ogień. Więc zjawisko to zeszło do rzędu takich jak spadek kamienia. Ale pioruna człowiek nie umiał robić. A więc, pomyślał, musi być ktoś, kto go robi. Podobny jest do płonącéj włóczni: to potężne ramię jakieś ją wyrzuca. Wiatr powstaje gdy się dmuchnie, ale huragany musi wywoływać podmuch jakichś ust potężniejszych. A więc są istoty, które mocne są wywoływać te zjawiska, istoty potężniejsze i większe od ludzi. Zjawiska są dziełem ich woli.

Pogląd taki, to antropomorfizm: — tłómaczy on wszystko wolą, tak jak ludzkie działanie, wolą istot do ludzi podobnych, tylko wyższych. Módlmy się aby ich gniewy przebłagać, dajmy im obiatę z najtłustszych udźców wołu aby się udobruchały, wino im w morze lejmy. Tak to czynili homeryczni bohaterowie. Z onych to istot utworzył się cały Parnas, cały system bogów i herosów: polyteizm.

Pogląd monoteistyczny mógł się rozwijać

*) Jeśli pojęcie to obcem jest dotąd literaturze, nie roszczę prawa do oryginalności. Ta należy prof. Ochorowiczowi. Nawzajem nie podsuwam powyższego wywodu Szanownemu Profesorowi. Nie byłem jego uczniem, a doszła mnie tylko tradycya jego wykładów, owszem nic prawie oprócz nazwy „zoomorfizm“. Nie wiem, czy on tak to rozumiał. Rozjaśni to artykuł, który ma nadesłać Redakcyi jeden z jego uczniów.

gdzieindziéj, wobec szczególnych warunków, zamiast p o l y t e i z m u, ale skąd inąd wchodzi on na miejsce polyteistycznego, jako forma wyższa, i jest doskonalszy. Jasne jednak, że jądrem jego jest zawsze antropomorfizm.

W obec antropomorfizmu więc zjawiska to c z y n y, zoomorfizm miał je za i s t o t y.

Ale człowiek wznosił się coraz od faktów do spostrzeżeń, do uogólnień, do abstrakcyi. Łączył on fakty luźne, konkretne, w grupy; np. kamień rzucony z ręki spada, z wieży spada, tak samo kawałek drzewa spada, a woda wylewa się na ziemię. Z tych spostrzeżeń formował zdanie ogólne: wszystko dąży ku ziemi, na dół, co potem Newton nazwie siłą ciężkości. Takie zdanie ogólne zawiera w sobie i wniosek: nie widziałem spadającéj rtęci, ale wiem, że i ona spada, bo wszystko com widział spadało. Wniosek taki nazywamy p r a w e m. Prawo jest to nic innego, jak tylko stwierdzenie prawidłowości w pewnéj grupie faktów.

Im daléj rozwijały się spostrzeżenia, im więcéj notował człowiek faktów w pamięci, tem silniéj wdrażało się w niego przekonanie o prawidłowości wszystkich zjawisk. Nie zdarza się, aby człowiek żył dwieście lat, nie zdarza się, aby kamień rzucony ulatywał w górę; wszystko co jest, jest prawidłowe. Inaczéj wyrażono to: w s z y s t k i e m r z ą d z ą p r a w a; nie masz dowolności i przypadków w przyrodzie.

Faktami temi, których zebrano ilość dostateczną aby je uogólnić i wyprowadzić z uogólnień prawa, zajęła się n a u k a. Ponieważ zapas faktów takich i spostrzeżeń zrazu był szczupły, wystarczała jedna umiejętność, aby je ogarnąć. U Greków zwała się ta umiejętność powszechna f i l o z o f i ą. Kiedy jednak liczba danych się zwiększała, rozebrali je między siebie pojedynczy badacze i potworzyły się działy w nauce, potworzyły się nauki szczególne, z których każda tylko pewną grupę faktów wzięła dla siebie. To były nauki na spostrzeganiu oparte, oparte na faktach i realnéj podstawie, to były nauki p o z y t y w n e.

Wszelako umysł ludzki nie chciał przestać na uogólnieniach. Żądał on dalszego wyjaśnienia. Bo dobrze np. że wszystko spada, że prawem jest siła ciężkości, — ale dlaczego spada wszystko, dlaczego to jest prawem? Wytłómaczenie ostatecznych przyczyn rzeczy wzięły na siebie teologia i filozofia, od któréj oddzieliło się wszystko to, co oparłszy się na faktach stawało się pozytywnem. Filozofia taka od pozytywnych podstaw oderwana, to m e t a f i z y k a. Teologia, o ile zajmuje się pierwszemi przyczynami, to metafizyka skostniała. Mniemania swoje wywodząc od boskiego początku przekuwa je w dogmaty, które nie ulegają krytyce i usuwają się z pod ludzkiego sądu. Postęp wiedzy pozytywnej przynosił nieraz z sobą z faktów ukuty protest przeciw dogmatom; teologia broniła się siłą materyalną, jaką jej społeczne stanowisko dało w ręce, potępiła Galileusza, który bajce biblijnej o słońcu Jozuego zaprzeczył, spaliła Serweta dzieło o krążeniu krwi. Dzieje tysiące faktów podobnych zawierają. A kiedy fale postępu coraz to silniej o stary gmach uderzały i nie dały się zatamować, przebudowywała teologia gmach swój pomału, niewidocznie, wciąż utrzymując że jest ten sam; nic ciekawszego, jak śledzenie za ową powolną, przez wieki dokonywującą się niewidoczną, często nawet nieświadomą odmianą „nieodmiennych“ dogmatów. — Taka jednak robota nie mogła nadążyć postępowi wiedzy; coraz to więc rezygnowała teologia z mięszania się w sprawy nauki, coraz to bardziéj odgraniczała się od jéj zagadnień, a przyszły rozwój przenosić będzie niewątpliwie jéj punkt ciężkości coraz to więcéj w sferę etyki. Metafizyka zaś teologiczna, kiedy pod nią rozum ludzki podkopał podstawy, nagabywana rzuciła gniewnem zdaniem: *credo, quia absurdum*. Odtąd musiała zerwać z wszelką filozofią.

Metafizyczna filozofia szuka pierwszych przyczyn wszechrzeczy niezależnie od teologicznego dogmatu i objawienia. „Obrawszy tron Przedwiecznego za cel zbiorowy swojéj krętéj podróży, chcąc zbadać wszystko, co wzdłuż téj ogromnéj leży przestrzeni, rozpoczęła ona dzieło, które praktyczniejsze wieki zarzucą zupełnie, które jest marzeniem do szczęścia ludzkości niepotrzebnem, podróżą jaką ślepy dla odkryć przedsięwziął“ (Supiński). W dociekaniach swoich odrywa się ona od rzeczywistości, a zagłębia się w sobie; poczucie wewnętrzne, „rozum“ snujący sam z siebie jest dla niéj źródłem. Odrzućmy *„den verkünstelten Verstand“*, i zatopmy się w sobie, powiada, a znajdziemy pojęcia czyste i niezaćmione, złożone w duszy naszéj. Te pojęcia, abstrakcye drogą uogólnienia spostrzeżeń nabyte, uważa metafizyka za coś pierwotnego, wrodzonego. W nich odszukuje ona idei Boga. — „Jutro stworzymy Boga“ — mówi w wykładach swoich Fichte. Stworzyszy go, zatapia się metafizyka w nim, w owym przedwiecznym rozumie, w którym tkwią pojęcia istniejących rzeczy: myśląc z tym rozumem, myśli świat, odkrywa plan jego w myśli stwórcy. Od pojęć przychodzi ona zatem do zjawisk, a pojęcia ma za coś, co istnieć może wprzód nawet, nim zaistniał przedmiot pojmowania. Wreszcie — „chcąc wszystko wytłómaczyć, wszystko zrobiono ciemnem i niepojętem. Jest to odmęt i przepaść, gdzie człowiek w zamieszaniu durzeje i ślepnie, wpada w marzenia, w błędy i dziecinności. Stąd też pochodzi, że w podobnych badaniach im bardziéj subtylizujemy w myślach i słowach, tem się bardziéj pojęcia nasze ćmią i mieszają; aż wreszcie wpadamy w szperania i nam samym i nikomu nie zrozumiałe. I tu właśnie powiedzieć można: *abyssus abyssum invocat.*“ (Jan Śniadecki). — Przepaść ta wiele ma zresztą nęcącego. Snując wszystko, co jest, z jednego źródła, jednocząc w jedném ognisku,

w bóstwie, wszystkie promienie świata zjawisk, urządza ona świat cały wedle pewnéj harmonii, jednoczy go i spogląda nań z zadowoleniem jako na estetyczną całość. Mniejsza o to, że go widzi fałszywie; widok harmonii daje jéj zaspokojenie. Świat staje się systemem.

....„So fragmentarisch ist Welt und Leben...
Ich will mich zum deutschen Professor begeben.
Er wird das Leben zusammensetzen,
Und macht ein verständlich System daraus.
Mit seinen Nachtmützen- und Schlafrocken-Fetzen
Verstopft die Lücken des Weltenbau's.“

Tak drwi sobie Heine z Niemców, którzy ostatecznie, bezpośrednio przed naszémi dniami, wyśrubowali metafizykę do niebywałéj wysokości, a ukoronowali ją nauką Hegla.

Ale wreszcie uprzykrzyło się trzeźwym umysłom to zajmowanie tronu nauk przez twór, który z nauką niema nic wspólnego. Wiedza pozytywna rozwijała się coraz, stworzyła metodę gruntownego badania, dociekała z mozołem prawdy. Filozofia nadęta własną wielkością pogardzała tą ciernistą drogą i bujała fantazyjnie, patrząc z góry na wszystko, co trzymało się ziemi. Uprzykrzyło się wreszcie i to bujanie, które ani o krok nie przybliżyło celu, ani jednym błyskiem nie rozświeciło tajemnicy pierwszych przyczyn. Metafizyka opierała się na indywidualném poczuciu, systemów świata tyle powstało ilu było filozofów. Chaos rósł; w nim się i Bóg którego szukano zapodział. Im bardziéj dmuchano na mgły okrywające istotę bytu, tém bardziéj tumaniły się one, podnosiły, i zaćmiewały skąpe blaski prawdy nagromadzone przez pozytywne nauki. I przychodzono wciąż do przekonania, że raczéj te blaski rozmnożyć i zogniskować potrzeba, a nie z mgłami wieść Don Quixote'owe boje. Zapragniono więc znaleść ognisko, gdzieby promienie snute luźnie przez każdą w szczególności naukę zgromadzić i skupić się mogły, a połączone rzuciły szeroki blask na świat i dalszą pracę około wyrobu światła się krzątającą. Takie to dedukcyjne oświecanie z góry światłem prawd jakoby już zdobytych, należało zawsze do filozofii. Tylko że dotąd kłamliwe rzucała blaski, blaski nie z tego świata, od którego się odrywała porzucając pozytywne podstawy. Należało więc oprzeć na ziemi filozofię, należało ją uczynić p o z y t y w n ą. — Ojcem tej myśli jest August Comte. *J. P.*

(C. d. n.)

Rozwój filozoficznéj myśli.

(Ze wspomnień uniwersyteckich)

skreślił

Edward Przewóski.

III.

Filozofia nowożytna ciągnąc się nieprzerwaném pasmem od początku wieków średnich aż do dni naszych, przedstawia po filozofii greckiéj, drugi zamknięty krąg w rozwoju filozoficznéj myśli.

W porównaniu z cyklem greckim, rozwój nowożytnéj filozofii wykazuje pewne punkta styczne i właściwe sobie różnice. Podczas gdy helleńska filozofia jest chaotycznym dość jeszcze i mglistym zlepkiem filozoficznym, w którym obok przeważających legendowych baśni myśli oderwanéj, kiełkuje zaledwo niepodległy sceptycyzm a wiedza rzeczywista niemowlęce stawia kroki — ogólna zasadnicza myśl nowożytna płynie już dwoma równoległymi prawie strumieniami. Spekulacyjne przytém fantasmagorye poplątane z teologicznemi wierzeniami ustępują coraz bardziéj z widowni i rozwiewają się w nicość — a krytyczna myśl niepodległa coraz większy zapas prawd gromadzi, coraz gruntowniéj bada i coraz szerzy zakres ogarnia. Jeżeli przytem nowożytny kierunek spekulacyjny w filozofii jest niejako powtórzeniem i mniéj lub więcéj doskonałą kopią sokratesowskiego kierunku — bo fantazya w téj dziedzinie łatwo się wyczerpuje — badawcza myśl niepodległa kroczy samodzielnemi drogami i nowe rzeczywiście światy odkrywa.

Taka jest charakterystyka ogólna: przejdźmy jednak do szczegółów, do historyi.

Do wieku, mniéj więcéj X-go, filozofia była jedynie służką teologii; odziedziczona przytem w spadku po greckich metafizykach doktryna idei wrodzonych, wybornie nadawała się do poparcia dogmatów religijnych. W myśl fantastycznych majaczeń Platona, średniowieczni „realiści“ utrzymywali, że posiadamy nie tylko idee wrodzone, lecz nadto, że ogólnym tym ideom odpowiadają osobne istoty „ogólne“, — samo przytém istnienie idei wrodzonych, dowodzi istnienia odpowiadających im istot. Istnieje więc np. nie tylko drzewo, jako dany namacalny produkt natury, lecz istnieje także drzewo jako wrodzona nam ogólna idea drzewa i istnieje odpowiadająca jéj istota — drzewo „ogólne“. Zdaje się nam to dziś niedorzecznością, tak jednak sobie te rzeczy wyobrażano. Na podstawie téj właśnie teoryi dowodzono istności różnych przedmiotów wierzeń religijnych. Mamy wrodzone oczywiście, mówiono, pojęcie duszy, Boga, nieśmiertelności — dusza więc, Bóg i nieśmiertelność istnieją. Znanym był w wiekach średnich, przeprowadzony w ten sposób przez Anzelma z Canterbury dowód istności Boga. W czasie wszechwładnego panowania syllogizmu Arystotelesa, posługi-

wano się w potrzebie i syllogistyczną analogią. Abelard dowodził: ponieważ trzy przesłanki jednego syllogizmu stanowią jeden syllogizm, trzy więc osoby Trójcy, stanowić mogą, z téjże racyi, jednego Boga. Spełniając w ten sposób swoją służbę, filozofia cieszyła się protekcyą i względami silniejszéj od niéj teologii.

Powstał też krzyk okropny i lękliwe obawy że runie cały porządek moralny, gdy do walki z wyznawaną przez realistów teoryą idei wrodzonych i odpowiadających im istot wystąpili nominaliści, którzy dowodzić poczęli, że ogólne nasze idee i pojęcia nie są bynajmniéj wrodzonemi, lecz są tylko produktem naszéj pracy umysłowéj, — imionami urobionemi przez nas, na podstawie spostrzeżeń szczegółowych, pojęciami ogólnemi, które przytem istnieją jedynie w myśli naszéj. Trzeba było wówczas wielkiéj odwagi, ażeby z podobnie śmiałą i radykalną wystąpić teoryą. Zdobył się jednak na nią patryarcha nominalistów Roscelin i odtąd już myśl filozoficzna nowem swobodniejszem popłynęła korytem. Walka nominalistów z realistami trwała wieki całe; oczyszczono grunt pod uprawę samodzielnéj myśli badawczéj, a nominalista angielski z wieku XIV, głośny na swój czas filozof Occam, uważany być może za poprzednika Bakona.

Zdobycie Konstantynopola, rozproszenie po świecie ówczesnych uczonych greckich z poprawniejszemi i pełniejszemi tekstami Platona, Arystotelesa i wielu innych filozofów, epoka odrodzenia, która w roskwitających grodach włoskich obrała sobie siedlisko — wszystko to zasiliło znowu myśl filozoficzną. Rzucono się do studyowania filozofów staréj wolnéj Hellady, poczęto przekładać ich dzieła na nowożytne języki, a Koźma Medici założył Platonowską akademią we Florencyi. Posiew ten wydał wkrótce owoce. Piotr Pomponattius (Pomponazzi), mantuańczyk, ur. w 1462 r., w słynnym naówczas traktacie swym o nieśmiertelności duszy śmiał utrzymywać, że niepodobna przedstawić dowodów téj nieśmiertelności. Dusza myśli, twierdził on, tylko pod warunkiem istnienia obrazów zewnątrz nas, obrazy te zaś dochodzą do nas za pośrednictwem zmysłów czyli ciała; ze zniszczeniem więc naszego ciała, niknie zarazem i warunek myśli, oraz indywidualnego naszego bytu. Pomponazzi zastrzegał się jednak, że powstaje nie przeciw wierze w nieśmiertelność, na to się jeszcze nie ważono, lecz przeciw chęci dowiedzenia jéj rozumem. Większym już daleko buntownikiem był urodzony w Neapolu około połowy XVI w., Giordano Bruno. Wygnany w młodym jeszcze wieku z zakonu dominikanów za wątpliwości religijne, przebiegł całą Europę, propagując namiętnie nową filozofię, walcząc z teologią, scholastyką i Arystotelesem, aż pochwycony w Wenecyi przesiedział 6 lat w więzieniu, a 17 lutego 1600 r. spalony został w Rzymie na stosie, jako niepoprawny heretyk. Nauka Brunona wyprzedziła w wielu punktach poglądy Kartezyusza i Spinozy, a Leibnitz i Schelling czerpali również obficie z tego źródła.

Bruno za pierwszy warunek filozoficznego myślenia uważał obalenie czci jakichkolwiekbądź powag i wyzwolenie się z wierzeń wszelakich, radził raczéj wglądać w otwartą przed nami księgę przyrody; był też panteistą. Świat uważał za wypływ, objawienie się Istoty najwyższéj; twierdził przytem, że pierwiastek myśli i bytu, duch i przyroda są w gruncie jednorodne. Wspomnieć tu jeszcze należy o szewcu niemieckim i filozofie Jakóbie Böhm'ie, który w utworze swym „Aurora" wyłonił językiem dość mistycznym i niejasnym zapatrywania, powtórzone późniéj przez Schellinga i Hegla, zdaje się, bez przytoczenia źródła. Böhme utrzymywał, że bóstwo zniewolone było do wyłonienia z siebie całego rzeczywistego świata, spowodowane do tego chęcią samowiedzy, uświadomienia się... (!).

Wszystko to jednak uważać należy za wstęp tylko do właściwéj filozofii nowożytnéj, któréj dwa główne strumienie mają swe źródła w dwu wybitnych myślicielach, w Descartes'ie i Bakonie. Obaj żyli u schyłku XVI i w początkach XVII wieku i obaj dali początek dwom filozoficznym kierunkom.

Filozofia Kartezyusza (Descartes'a) ma niektóre pozory samoistnego badania; przyjrzawszy się jednak bliżéj, ujrzymy w niéj odświeżoną tylko scholastykę i teologiczne reminiscencye. Kartezyusz zaczął niby od sceptycyzmu, zwątpił o wszystkiem, co także na owe czasy było wielką śmiałością i wobec teologii nacechowało filozofię jego piętnem racyonalizmu. Mogę jednak zwątpić we wszystko. rozumował daléj, ale wątpić o tem nie mogę, że jestem. *Cogito — ergo sum.* Zrobiwszy tak genialne, choć na grze tylko słów oparte odkrycie, Descartes postarał się o wynalezienie na téj drodze kryteryum prawdy. Wychodząc z powyższego twierdzenia przyszedł on do wniosku, że wszystko co dla nas jest niezwykle jasnem, jest i prawdziwem. Ażeby jednak wytknąć sobie jakąś drogę postępowania od rzeczy jasnych do ciemnych, Kartezyusz, znakomity matematyk, uciekł się do pomocy metody dowodzeń znanéj w matematyce, specyalnie zaś w geometryi, i na téj drodze pokusił się o udowodnienie filozoficznych zagadnień. Zwyczajem filozofów ówczesnych, którzy ciągle jeszcze nie mogli się otrząsnąć z mniemania, że służą teologii — trzeba było dowieść naprzód istności Boga — no, a następnie i materyi. Idea boga, dowodził tedy Kartezyusz, jest to idea istoty najdoskonalszéj; skoro zaś idea taka istnieje, musi istnieć i istota jéj odpowiadająca. Tak samo mówił Anzelm Canterburyjski. Dodać należy, że Descartes przyjmował również idee wrodzone. Właściwością ducha, twierdził daléj, jest myśl, materyi — rozciągłość. Zasadnicza ta różnica obu pojęć dowodzi, że obok ducha istnieje i przeciwstawienie jego — materya.

Przejdźmy teraz do filozofii wielkiego żydowina, Spinozy. Stał on w zupełności na gruncie kartezyuszowskiéj filozofii, rozwijał ją jednak z większą ścisłością i konsekwencyą. O tyle przytem poszedł daléj iż twierdził, że myśl i rozciągłość, duch i materya — jednoczą się w Bogu, z którego wypłynęły, są tylko jego atrybutami: świat więc cały jednoczy się w bóstwie, jest samym Bogiem, Bogiem w dalszym swym rozwoju. Spinoza był panteistą a systemat jego uważa się za najbardziéj wykończony w tym kierunku.

Leibnitz, nader wszechstronny myśliciel niemiecki z połowy XVII w., na polu filozoficznem wystąpił z systematem wręcz przeciwnym Spinozie, z systematem jednak również z fantazyi wysnutym. Spinoza zlał świat cały w jedną całość, w Boga. Leibnitz wziąwszy sobie za wzór atomy Demokryta, powiedział, że świat składa się z nieskończonéj ilości m o n a d, z mikroskopijnie drobnych światów, z których każdy sobie wystarcza i istnieje niezawiśle, postawiony tylko obok drugich. Monada każda, coś jakby dusza ludzka, odbija w sobie jak w zwierciadle świat cały, ma zresztą wrodzoną świadomość wszechrzeczy. Jedne tylko monady śpią, inne drzemią, inne zaś znowu czuwają. Jakże jednak wytłómaczyć sobie działanie ducha na ciało, zagadkę, która długo niepokoiła filozofów, gdy monady, według Leibnitza, nieulegają żadnym wpływom postronnym. Otóż, powiadał on, ciało nasze naprzykład jest kolonią monad, którego monady centralne, wyrabiające sobie, a raczéj posiadające wyobrażenie o świecie, według wiadomości wszystkich razem monad tworzą duszę człowieka, dusza ta zaś oddziaływa na ciało, czyli na inne monady na podstawie zakreślonéj z góry przez bóstwo harmonii — tak jak dwa równie dobre, idące obok siebie zegary, z których każdy jedną wskazuje godzinę, chociaż nie oddziaływują na siebie. Można jednak przyjść do konkluzyi, że w systemie Leibnitza nie ma miejsca dla Boga, — monady, ot i wszystko. Filozof ten jednak zbyt był dobrym teologiem, żeby o tem zapomniał. Cały ów świat monad musi mieć pewną racyę bytu. Istoty skończone tylko w istocie nieskończonéj mogą znaleźć wytłómaczenie swéj egzystencyi — ergo istota nieskończona, czyli Bóg, istnieje.

Cała szkoła kartezyuszowska nie jest niczem innem, jak udoskonaloną tylko scholastyką, grą słów i fantasmagoryą.

Niemcy zbyt lubują się w podobnem rozmyślaniu, ażeby sobie go byli raz jeszcze na własnym już czysto gruncie nie powtórzyli. Gdy pozytywna bakonowska filozofiia rozwinęła się dość już bujnie w Anglii, królewiecki filozof Kant, postarał się przeszczepić zdobyte już przez nią rezultaty na grunt niemiecki, nie w całéj jednak pozytywnéj czystości, połączył je bowiem z transcendentalnemi resztkami scholastyki i wymaganiami tak zwanego „praktycznego rozumu". Na tym eklektycznym gruncie wyrosła znowu bujnie fantastyczna filozoficzna spekulacya w szkole Fichtego starszego, Schellinga i Hegla. Systemy te zachowały pewien eklektyczny charakter, czepiając się pewnych zdobytych przez naukę rezultatów, zresztą jednak puszczały całkowicie wodze fantazyi.

Według opowieści Fichtego istnieje naprzód absolutne ja, wolne, niczem nieskrępowane. Znudziwszy się widocznie absolutną bezczynnością j a wyłania z siebie n i e — j a, t. j. cały świat materyalny, w tym zaś świecie materyalnym powstaje znowu wielka ilość j a względnych, w których ja bezwzględne dąży do świadomości i swobody. Mamy więc ewolucyę, jako skutek rozwoju absolutnego j a od absolutnéj świadomości przez nieświadomość do świadomości względnéj. Dodać należy, że Fichte pisał pod wpływem wolnościowych tendencyi rewolucyi francuskiéj, nie na scholastyczno-metafizycznym gruncie wyrosłych, stąd ja absolutne także ma u niego pociąg do swobody. Fichte przytem był mistykiem, który do filozofii swéj dochodził, jak utrzymywał, na drodze kontemplacyi wewnętrznéj, zwanéj się u niego *intellectuelle Anschauung*.

Schelling i Hegel powtórzyli tę samą opowieść w innéj nieco formie. Fichtego j a absolutne nazywa Schelling absolutną tożsamością, nie-ja poprostu przyrodą, j a względne — duchem. Proces rozwoju ten sam co u Fichtego. Schelling tylko, korzystając z bujnego za swego czasu postępu badań przyrodniczych, wlał treść ich w ową legendową formę, stworzywszy tak zwaną przez się „Naturphilosophie". Hegel znowu absolutne j a Fichtego nazwał ideą bezwzględną — starał się przytem zlać Fichtego i Schellinga w jeden system; wynalazł też osobną metodę rozumowania, która posłużyła mu za kanwę do nieskończonych warjacyi na temat ducha bezwzględnego, rozwijającego się w historyi, duch ten jednak, nie dążył jak u Fichtego do swobody, bo panowała już wtedy po wielkiéj rewolucyi reakcya, duch tedy bezwzględny według Hegla, doszedłszy do naszych czasów przez różne fazy rozwoju, szczególnie podobał sobie w tem co już jest, ponieważ zaś Hegel wykładał w Berlinie, twierdził więc z całą pewnością, że królestwo pruskie jest szczególnie między innemi umiłowane przez ducha bezwzględnego. Metoda owa zasadzała się na tem, że zarówno idea bezwzględna, jak i wszystkie idee względne istnieją naprzód jako teza, następnie zaś jako antyteza; teza zaś i antyteza łączą się w syntezie. W formułę tę trzeba tylko wstawić jakąś treść i będziemy mieli waryacye na temat rozwoju świata, przyrody, człowieka, społeczeństwa i t. p.

Na tem kończymy krótki przegląd nowożytnéj scholastyczo-metafizycznéj filozofii — pozostaje nam zaś jeszcze przypatrzyć się nieco uważniéj rozwojowi bakonowskiego pozytywnego kierunku w filozofii. (D. c. n.)

GŁOS WOLNY.

Działo się dnia 29 stycznia 1883 r.

W szerokich kołach krakowskiej młodzieży dziwne panowało zamięszanie. Od południa chodziły głosy, że ukochany powszechnie student medycyny Aleksander Zawadzki przez policyę ma być wydalony z granic państwa austryackiego i że znajduje się już pod nieustanną opieką władzy, aż do chwili wyjazdu, naznaczonej na trzecią godzinę po południu. Jaki taki, pragnąc raz jeszcze zobaczyć ulubionego „podskarbiego“ spieszył do Czytelni. Tam już fakt nie ulegał żadnej wątpliwości. W pierwszej sali, na tle bibliotecznej szafy, widać było pana dobrej tuszy acz małego wzrostu. Bujny zarost płowej maści ocieniał mu oblicze, a futro dostatecznie kryło resztę jego zewnętrzności. Pan taki, jak powiadamy, stał. Stanie to usuwało wszelkie wątpliwości. Opodal stał Zawadzki, otoczony garstką kolegów. Od niego dowiedziałem się, że przyszła mu odmowna odpowiedź na rekurs do c. k. Namiestnictwa zrobiony, że przed godziną dwunastą c. k. policya zawiadomiła go o tem, dodając mu zarazem nierozłącznego towarzysza, i że ma o trzeciej, to jest w trzy godziny od zawiadomienia opuścić nasz Kraków, o którym poeta mówi, że jest cmentarzyskiem Polski. (Poeta ten już umarł i nigdy za paszportem nie przebywał w gminie Kraków, używając zaś wyrażenia „cmentarzysko Polski“, nie miał zupełnie chęci obrażenia krakowskich grzebaczów polskości, a powiedział to z innej okazyi). Chłopaki były oburzone... Dziwna rzecz co ta młodzież ma za naturę! strasznie zapalna, o byle co zaraz się oburza. Po serdecznem pożegnaniu, za poradą niskiego pana w futrze udała się część młodzieży ze skazańcem i ma się rozumieć z niskim panem we futrze do gmachu c. k. policyi, by starać się o przedłużenie pobytu dla złożenia ksiąg urzędowych i innych godności akademickich. Co i jak się tam wewnątrz działo, nie wiem, bo nie wpuszczony stanąłem w sklepionej sieni i czekałem przypatrując się podłodze, drzwiom, policyantowi stojącemu przed bramą i własnym paznokciom. Patrzenie na rzeczy mało ciekawe znudziło mię do tyla, żem wrócił z niczem do domu. O godzinie trzeciej pospieszyłem na kolej. W poczekalni drugiej klasy zastałem dobrą setkę kolegów; Zawadzkiego nie było, a tylko towarzysza jego niedoli kolegę Jarona otaczało koło młodzieży. Dziwna zaiste ta młodzież, muszę po raz drugi zauważyć, żre się i kłóci między sobą, a przecież jak na którego los się brzydko skrzywi, stare kwasy idą na bok, budzi się gorące poczucie solidarności i objawia się na zewnątrz przez wsparcie biedaka, który bez grosza w kieszeni idzie na tułaczkę! Sam po raz pierwszy taką egzekucyę widziałem i byłem czegoś zły, i bardzo zły... Myślałem sobie o tej legendowej poetycznej dobie, kiedy po Wiedniu rozlegało się hasło: „Niech żyje konstytucya!...“ o! dawno już temu, lat trzydzieści z górą— ale co tam! człowiek się nie zna na prawie...

Podobne myśli ważąc w głowie poszedłem do mieszkania Zawadzkiego odebrać jego akademickie papiery, bo prosił mię o to poprzednio. W mieszkaniu w pierwszym pokoju siedział pan, ale już nie ten niski pan w futrze, lecz pan w butach. I pan był wysoki i buty były wysokie i szklanka piwa przed panem stojąca była wysoka. Bo Litwin-wygnaniec dał temu panu piwa. On się zawsze dobrze ze służbą obchodził.

Po chwili siedziałem w trzecim pokoju przy Aleksandrze i omawialiśmy obecny los jego. Dużo mi mówił o przysługach pewnych poważnych osób, które nawet narażały się na koszta korespondencyi i podróży dla „wyszrubowania“ go z naszego miasta. Koszta nagrodzi im kasa jakiego towarzystwa (w każdem sprawozdaniu naszych towarzystw widnieje poważna pozycya pod rubryką „na fiakry“), lecz któż im ich trudy nagrodzi? Pójdą one na karb obywatelskich zasług; przy wyborach może będą podniesione, opisane w nekrologu...

Pożegnawszy serdecznie drogiego kolegę, opuściłem jego mieszkanie ze ściśnionem sercem, a pan czy piwem, czy naszem pożegnaniem wzruszony, wstał przy zgrzypie dubeltowych podeszew. O godzinie piątej wieczorem liczna falanga młodzieży zebrała się na dworcu kolei. Każdy przyszedł bez namawiań, bez agitacyi, każdy uważał za święty obowiązek raz jeszcze uścisnąć dłoń człowieka, który może przestarzałą miał wizę na paszporcie, ale mimo to budził raźne życie w kołach studenckich. Kochano go poprostu, więc chciano go pożegnać wedle serca...

Snać władze uważały za stosowne nie dopuścić do ostatniego spotkania. Dobrze nie wiem o zamiarach władz, ale konstatuję fakt, że chciano go wywieść po cichu. Musiały być jakieś obawy, jakie? nie wiem także, bo nie powiedziano mu za co go wypędzają, a znów same sprawy paszportowe, nie mogły go robić niebezpiecznym w chwili wyjazdu... Dość, że nie dozwolono się z nim widzieć, a młodzież znów chciała go widzieć, i... zobaczyła go. Podczas gdyśmy go szukali, on siedział w sali c. k. policyi na dworcu. Pode drzwiami znajdował się pan wysoko obuty; jego obecność wskazała nam, gdzie szukać kolegi. Tłumnie zebrani przed oknem żegnali studenci więźnia okrzykami, on podziękowanie zasyłał. Ostatnia nadzieja spoczywała w spotkaniu się na peronie. Rzucono się do kasy, lecz pan kasyer biletów nie chciał wydawać. Kilku szczęśliwych przez niewinne kłamstwo, że odprowadzają matki lub krewnych, dostało jednak karty wstępu. Zrobiłem słuszne spostrzeżenie w duchu, że władze musiały się porozumieć, a wśród refleksyi podobnych porwany prądem dostałem się na peron przez boczne wejście wraz z kilkuset kolegami. Tu nowa kolizya

z życzeniami panów cywilnie i mundurowo odzianych. Panowie ci zrazu chcieli być niegrzeczni, ale nas było bardzo dużo, byliśmy sami młodzi i panów musiało to uderzyć.... bo po krótkim huku i protestacyach ograniczyli się na zaznaczaniu swéj odrębności przez stanowcze przechadzanie się i niepokojące poprawianie ceratowych kaszkietów. Chciano nas wypędzić, ale nie wypędzono nas. Zadzwoniono raz, drugi i trzeci. Na schodkach pokazał się Zawadzki w towarzystwie władz bezpieczeństwa; koledzy tłumnie się doń rzucili, rozpoczęła się rzewna scena uścisków pożegnalnych. Podniesiono go w górę wśród okrzyków „niech żyje" i „wracaj". Opiekunowie jego umieli uszanować chwilę podniosłą... Ani jedno słowo protestu nie przerwało głośnego wybuchu uczuć. W końcu tylko proszono „pana konsyliarza dobrodzieja", żeby był łaskaw iść do wagonu. Poszedł, a koledzy za nim; na stopniach wozu nowe uściski, nowe okrzyki. Osoby jadące w tym samym oddziale wstały i głowy odkryły na znak uszanowania dla młodzieży, żegnającej swego towarzysza. Po chwili lokomotywa świsnęła, pociąg ruszył. Studenci kupkami wracali z powrotem, nie zaczepiani przez policyantów, nie słuchając też tłumaczeń, jakiemi ci starali się uzasadnić swe służbowe postępowanie. Po drodze dużo mówiono o całej sprawie, wynurzano nadzieję, że władze Uniwersyteckie powiedzą nam pewnie, co spowodowało wyjazd Zawadzkiego, jakie były jego winy... Wszak mamy — mówiono — Rektora dzielnego, który publicznie nam mówił o przywiązaniu do młodzieży, wszak to kapłan i obywatel tutejszy, jemu może dozwolonem będzie porobić stosowne kroki, jakie konieczne są dla uspokojenia wzburzonej i niepewnej swego losu młodzi...

Tak sobie między sobą mówiono, czy to mówienie zda się na co — zobaczymy.

. . . .

W dniu 26 b. m. zgromadzone w salach konwiktu wszystkie stowarzyszenia studentów czechów ze wszystkich wyższych zakładów naukowych w Pradze, uroczyście obchodziły 50-letnią rocznicę urodzin zacnego swego przyjaciela, jednego z prawych, zasłużonych „starych studentów" czeskich. Czcigodną postacią, dla której zebrała się cała poczciwa młódź czeska, był Józef Barak, literat i redaktor dziennika *Narodni listy*. Od młodocianych swych lat bojownik swobód narodowych, spieszył wszędzie gdzie błysnęła iskra swobody, by ją rozżarzyć tchnieniem miłości pełnej piersi, by ją zasłonić od przeciwnych wichru podmuchów.

Osobiście poznawszy szanownego Jubilata na zjeździe lekarzy i przyrodników w Pradze, słysząc w tejże samej sali przemówienie jego, można było czuć tę głęboką miłość narodu swego i przyjaźń niekłamaną ku nam. Dla tego też łączymy się sercem z bracią czechami dla wydania wspólnego okrzyku: Cześć ci prawy mężu, żyj w długie jeszcze lata, jak dotąd, a chowaj w swem zacnem sercu przyjaźń i dla nas.

. . . .

Czcigodny autor „Rachunków", niezmożony J. I. Kraszewski, tak o nas pisze w koresp. do „Biesiady Literackiej":

.... „w przedmiocie o pomniku (Mickiewicza) jest kilka słów także w urodzonej tylko co „Przyszłości", organie młodzieży, który nim wyszedł, słyszę, potępionym został i postawionym na indeksie.

Byliśmy, jesteśmy i pozostaniemy wierni téj zasadzie, że wszelkim szczerym a uczciwym przekonaniom należy dozwolić objawiać się głośno. Nie tylko mają one do tego prawo, ale zdrowa polityka przeciwników wymagać by tego powinna. Ażeby ideę uczynić szkodliwą i do stanu chorobliwego, zakażającego ją doprowadzić, dosyć jest ją tłumić i dusić. Uczciwy, spokojny, pewny siebie konserwatyzm, idei postępowéj, choćby rozbrykanéj, głosu odbierać nie powinien. W Krakowie, gdzie doktryny zachowawcze nie zawsze uprawnione, przybrały rozmiary niemal groźne, trochę ruchu i życia obudzić nie zawadzi. Pierwszy numer „Przyszłości", jeżeli polemikę wywoła — tem będzie lepiej".

KORESPONDENCYE.

Z Krakowa.

Dnia 18 stycznia odbyło się walne zgromadzenie członków Czytelni akademickiéj. Jednym z punktów programu było zrzeczenie się bibliotekarza kol. Łuszczkiewicza. Fakt ten był niespodzianką podwójnie przykrą dla członków Czytelni, raz, że ubyła wydziałowi jedna z najdzielniejszych sił, a powtóre, że powody, które go do tego kroku zmusiły, były tak przykréj natury, że wolimy ich tutaj nie poruszać. Wyłuszczył je ustępujący bibliotekarz w dłuższéj mowie, która z jednéj strony usprawiedliwiła zupełnie jego postępek, wykazując, że broni, któréj nań przeciwnicy używali, podjąć nie może, bo ona nie godna uczciwego człowieka, a z drugiéj była nowym dowodem jakich środków używają ci, którzy wraz z naszą ideą prześladują jéj przedstawicieli. Jak powszechnie lubionym wśród grona młodzieży był kol. Łuszczkiewicz najlepiéj wskazuje to, że przez większość obecnych usilnie proszony był o pozostanie na dotychczasowéj godności, a gdy mimo próśb zatrzymać jéj nie chciał, walne zgromadzenie jednogłośnie dało mu dowód zaufania a kol. prezes w imieniu Czytelni złożył mu podziękowanie za jego pracę i starania około dobra Czytelni.

To samo zgromadzenie wydało wyrok śmierci na „Przegląd akademicki", który odtąd przestaje już wychodzić jako organ Czytelni i „młodzieży polskiéj".

. . . .

Do najdonioślejszych zdarzeń w Czytelni z ostatnich czasów zaliczyć należy wieczorek 19 stycznia. Młodzież przyjmowała u siebie rzadkich gości, profesorów swoich, którzy ożywieni dobremi chęciami postanowili jako zwyczajni członkowie wmieszać się w gwarne życie czytelniane. Przewodnicy młodzieży obecnością swą dowiedli, że Czytelnię uważają za ognisko duchowego życia, ognisko, w którém ścierają się przekonania i wyrabiają kierunki, dowiedli, że nie lekceważą sobie tego ruchu, a owszem poznać go pragną, przekonać się, o ile jest on dalszém praktyczném rozwinięciem wykładowéj nauki. Ten poważny cel odwiedzin, można się spodziewać skuteczniéj oddziała na zbliżenie się sfer profesorskich do Czytelni, niż się to dotychczas wydziałowi, za pomocą różnych uroczystości na poły urzędowych, udawało. Zapewne jakiś wytrawny organ miejscowy dopatrzy się znów w tem niebespiecznéj zarazy, która z Uniwersytetów niemieckich na beczce piwa do nas zawitawszy, doprowadzi w końcu do smutnych dla narodowéj indywidualności następstw, zgubnych dla grona profesorskiego i dla młodzieży, jak się niedawno w pozytywizmie „Przyszłości", dopatrzył russyfikacyjnych zamiarów.

Organowi wolno się dopatrywać, to jego zawód. Młodzież zaś cieszyć się tylko powinna, że raz wreszcie pozna u samego źródła sądy, jakie przełożeni o jéj działaniu wydają, że się oczyści z zarzutów bez względu na to, kto je wypowiada, bo sposobność do tego otwarła się dobra.

Nie streszczamy dziś zresztą całéj ożywionéj pogadanki, (którą wzbudziła prelekcya kol. prezesa Pawlikowskiego „o pozytywizmie jak go młodzież dziś pojmuje") bo nie wyczerpała ona przedmiotu, była li tylko nawiązaniem do dalszych dyskusyi. Zagadnień zasadniczych nie wyczerpuje się w jednym wieczorze, a zbyt szybkie spieszenie do ostatecznych orzeczeń jest znamieniem niewłaściwego uprzedzenia z góry. Zresztą służyła ona jedynie do przełamania lodów i do zapoznania się. Dla tego ze szczerą radością zapisujemy sam tylko fakt, spodziewając się że zasada umiejętnego porozumienia się, wolna od namiętnych, niepopartych dowodami sądów, wyda najlepsze owoce.

. . . .

Powszechnie, przez niektóre organa partyi stańczykowskiéj obwiniona o brak patryotyzmu młodzież krakowska, pomna dawnych walk i znojów swych ojców, urządziła 23 stycznia żałobne nabożeństwo za poległych w 1863 roku. Kościół św. Marka, w którym odbyło się nabożeństwo, był przepełniony młodzieżą tak, że później przybyli, już do kościoła dla braku miejsca wejść nie mogli, — a brakowało właśnie tylko tych, którzy najwięcéj brak patryotyzmu młodzieży zarzucają. Po skończeniu nabożeństwa odśpiewali wszyscy obecni pieśni patryotyczne.

Tego samego dnia jako w pamiętną narodową rocznicę, odbył się jak co roku uroczysty wieczorek w Czytelni akademickiéj. Zagaił go pięknemi słowy kol. prezes, a potém nastąpił odczyt kol. K., w którym prelegent złożywszy cześć bohaterom z 63 roku walczącym o Polskę przez lud dla ludu, zachęcał młodzież do trzymania się hasła tych bohaterów, do łączenia się z ludem, tą częścią narodu polskiego na któréj przyszłość polega. Po odczycie nastąpiła część deklamacyjno-muzykalna, która świetnie wypadła, a po odczytaniu patryotycznéj odezwy p. Żychlińskiego do młodzieży polskiéj, odśpiewali obecni z zapałem pieśni narodowe.

Obecnie krząta się młodzież koło urządzenia wieczorku ku uczczeniu 25-letniéj pracy literackiéj Jeża, o którym to obchodzie sprawozdanie podamy w przyszłym numerze.

Ze Lwowa.

Po ukończonem nareszcie świętowaniu, któremu połowę poświęcamy roku, jaki taki ruch spostrzegać się daje między tutejszą młodzieżą. Wydział Czytelni dość usilnie stara się ożywić stosunki, zbliżyć jednych z drugimi i ułatwić wymianę myśli urządzając stale dwa razy na miesiąc wieczorki. Dotychczas mają one jednak tę wadę, że są zbyt sztywne i konwencyonalne, podobne raczej do jakiegoś muzykalno wokalnego popisu, niż zebrania koleżeńskiego, na którém wiele możnaby spraw ogół obchodzących poruszyć i wyjaśnić.

W tym miesiącu odbyły się dwa wieczorki wcale udatne: jeden dnia 13, drugi 19 bm. urządzony wspólnie z technikami. W dniu 20 urządziła młodzież akademicka i techniczna nabożeństwo na pamiątkę styczniowego powstania.

Na obu wieczorkach poruszono sprawę wielkiej dla nas wagi, mianowicie połączenia istniejących obecnie towarzystw akademickich w jedno, stwarzające nowe ognisko życia, przez skupienie rozstrzelonych obecnie sił. Urzeczywistnienie tej myśli postawiła Czytelnia na pierwszem miejscu swego programu a krok zrobiony do zawiązania bliższych stosunków z technikami jest pierwszym na tej drodze, która dalej doprowadzić nas może do tak upragnionej zgody między młodzieżą polską a ruską.

Przed 3-ma już laty, wskazywano na zjednoczenie Czytelni bratniej pomocy i Biblioteki słuch. prawa, jako na jedyny środek zdolny rozbudzić życie pośród młodzieży. Podjęta wówczas przez Czytelnię myśl zjednoczenia, rozbierana przez zwoływane komisye, do dziś dnia nie jest wiele bliższą urzeczywistnienia.

Jedynym przez wszystkich powtarzanym argumentem jest obawa, by Czytelnia nie zużywała na swoje cele funduszów bratniej pomocy. Sądzę jednak, że argument to błahy, zważywszy, że towarzystwa te połączyłyby się w jedno, które wszystkie ich obowiązki wzięłoby na siebie, a nie wiem dlaczego cele Czytelni miałyby mu być droższe nad cele Bratniej pomocy.

Życzymy zwolennikom zjednoczenia wszelkiego poparcia, które już znajdują w opinii publicznej. Nie wątpimy, że po zjednoczeniu się młodzieży, nie trudnem będzie zadaniem wytworzyć łączność między nami a młodzieżą ruską, zwłaszcza w obec dobrej woli ze stron obu, której na dziś po tak przykrych doświadczeniach nie braknie. Godny naśladowania przykład daje nam w Czytelni kółko historyczne, do którego należy kilku akademików Rusinów i na dyskusyach obok polskiej mowy słyszymy i ruską.

Pojawienie się „Przyszłości" przyczyniło się także nie mało do ożywienia ruchu w Czytelni. Zarówno jak w dziennikarstwie tak i u nas wywołała burzę ścierających się pochwał i zarzutów.

Co do ostatnich zbyt otrzaskani z niemi jesteście, by wam tu je jeszcze raz powtarzać. Wieczna to pio-

senka na tę samą nutę. Mowa tam o braku patryotyzmu, o kosmopolityzmie i t. d., gorętsi zaś powstają przeciw pozytywizmowi wiejącemu ze szpalt waszych, który zdaniem ich z duchem (sic) narodu polskiego się nie zgadza.

Dodam jeszcze kilka drobniejszych szczegółów. Wydział Czytelni, chcąc podnieść ruch naukowy nie dostatecznie podtrzymywany przez kółko naukowe, uchwalił wprowadzić w życie ogłaszanie konkursów na prace naukowe z nagrodą 30 złr. W tym roku jeśli okoliczności sprzyjać będą, ogłosimy 2 konkursy, z których jeden na temat: „Historya Czytelni akad. lwowskiej“.

Ofiarność młodzieży naszej z przyjemnością tutaj zaznaczamy. Gdy okazała się potrzeba wsparcia Czytelni dobrowolnym datkiem, ze wszystkich stron pospieszono ze składkami i nie odmówiono także składek na teatr poznański, płynących głównie z rąk najuboższej młodzieży.

Bratnia pomoc także podniosła się nieco, rozszerzyła bowiem zakres swej działalności, przeznaczając 10% ogólnego funduszu na zapomogi dla pokrycia kosztów rygorozów. Dawno to już należało uczynić w obec położenia młodzieży, której trudno było zdobyć się na opłacenie wysokich taks rygorozalnych.

Zakończę tę kronikę jeszcze jednym objawem świadczącym o rozruszaniu się naszém, tym razem jednak niestety w kierunku bardzo ujemnym. Dawniej ledwie raz lub dwa razy do roku zachodziła potrzeba sądu honorowego między akademikami, teraz gdy jeden się skończy zaczyna się drugi, i tak bez ustanku na porządku dziennym jakaś „sprawa honorowa“.

NOWINY.

Dr. Jan Baudouin de Courtenay, znakomity rodak nasz, prof. porównawczego językoznawstwa w Kazaniu, powołany został na katedrę do Dorpatu.

W N-rze 12 „Nowéj Reformy“ znajduje się artykuł Dra Izydora Dieduszyckiego — o greczyźnie w szkołach. Autor polemizuje z artykułami zamieszczonemi w roku zeszłym w temże piśmie, i wychodząc z zapatrywania, że nauka greki obracając się około gramatyki zabiera czas mogący być poświęconym choćby bliższemu poznajomieniu się z światem greckim w inny sposób, a zabiera bezowocnie, bo z wielu uczących się mało który ze szkół znajomość greckiego języka z sobą wynosi: przychodzi do wniosku, że należałoby naukę greki ze szkół wykluczyć, a natomiast zaprowadzić szkoły osobne dla poświęcających się wyłącznie badaniu świata klasycznego. Jako wzór podobnego urządzenia stawia autor Anglię. — Wiele, wiele ten wywód ma za sobą...

„Ognisko“, książka jubileuszowa dla T. T. Jeża wyszła już z druku. Rozbiór jéj poda później nasze pismo.

W przyszłym roku, 1884, odbędzie się w Rzymie międzynarodowy kongres więzienny. Zaproszony nań został z rodaków naszych Włodzimierz Spasowicz.

Lilla Weneda z illustracyami Andriollego wyszła z druku. Słusznie uważa „Czas“, że dałoby się dzieło takie wykonać siłami krajowemi, a Lilla wyszła—w Lipsku. Dlaczego także wyszło w Lipsku dziełko Estreichera o Węgierskim?

P. Dziewicki, dokonał przekładu Konrada Wallenroda na język angielski. Nie jest ten przekład pierwszym; znają Anglicy Wallenroda już z dwóch pono tłómaczeń. Praca ta jest dotąd jeszcze w rękopiśmie.

Redakcya Wędrowca podjęła wydawnictwo dziełek popularnych, mających za przedmiot rozjaśnienie „współczesnych najważniejszych zagadnień filozoficzno-naukowych“. W ciągu roku ma wyjść 12 tomików. Będą to tłómaczenia z francuskiego, mianowicie z popularnego wydawnictwa: Bibl. utile. Wybór, wyznajemy, nie koniecznie nas zachwyca, ale nie złe i to. Dziełka te są: Zaborowski: O początku mowy — Ferriére: Teorya rozwoju— Robinet: Pozytywizm, jego zasady i dzieje — Richard: O początku i końcu świata — Stanley Jevons: Ekonomia polityczna — Renard: Czy człowiek ma wolną wolę? — J. Soury: Materyalizm, jego zasady i dzieje — Zaborowski: Człowiek przedhistoryczny — Morand: Wstęp do nauki przyrody — Hirn: Życie przyszłe w obec nauki — Menard: Katechizm wolnomyślicieli — Bondois: Stan Europy współczesnéj. — Cena dla prenum. Wędrowca i Przeglądu tygod. 3 ruble za całą seryę. Należytość można wnieść w dwóch ratach.

Dr. Antoni Jaworowski, jak donosi „Zoologischer Anzeiger“ zrobił ważne odkrycie odnoszące się do powstania, i budowy narządów płciowych u owadów. Odkrycia te są tém ważniejsze iż dotyczą nie tylko owadów, lecz wszystkich zwierząt wielokomórkowych, a więc ssawców i człowieka. Jak dowiadujemy się, zamierza autor (mimo powszechnie przyjętego zwyczaju polskich przyrodników, ogłaszania swych badań w języku niemieckim) wydać swą pracę w języku polskim.

Dr. Schöbl i dr. Janowski, mianowani zostali: pierwszy zwycz. profesorem okulistki przy czeskim Wydziale Medycznym w Pradze, drugi nadzwycz. prof. dermatologii przy tymże. Imiona obu uczonych znane są zaszczytnie z prac w literaturze lekarskiéj. Oby i inne katedry równie godnym dostały się mężom, a czeski Wydział Medyczny niepoślednie w poczcie europejskich wszechnic zajmie stanowisko.

Prof. Wierzbowski rozpoczął swoje wykłady na Uniw. Warszawskim dnia 27 stycznia. Zdawało się, że przed opinią publiczną się cofnie; kiedy studenci zagrozili że na wykłady nie przyjdą, odwołał je. Opinia zaczęła łagodzić wyrok wydany na odstępcę. Ale pokazało się, że to było tylko dezercya chwilowa, z obawy niebezpieczeństwa. I odbył się pierwszy wykład literatury polskiéj w rosyjskim języku, ale — przed pustemi ławkami.

NOWE KSIĄŻKI.

Gostkowski Roman br. Teorya ruchu kolejowego zastosowana do praktyki. Lwów. Kraków 1883. (9 złr. 60 ct.).

Reclus Onezym. Ziemia w krajobrazach. (Z francuskiego). Popularna geografia. Tom 1 i 2. Warszawa 1883. (3 rb. 60 kp.).

Dr. Rothe: Otrucie wyskokowe cz. alkoholizm (Warszawa 1883. — 1 rubel 20 kop.).

Feliks Bogacki: Istota zjawisk psychicznych.. (Warszawa 1883. — str. 56.).

Estreicher: Tom. Kajetan Węgierski. (Lipsk. Brockhaus. 1883. — Stron. 83).

J. Szujski, (tł.) Kalderon: Życie snem. (Lwów 1883).

Wacław Mańkowski. Notaty gospodarskie z podróży po Anglii. (Warszawa. Gebethner i Wolff 1883).

Sewer: Szkice z Anglii (Lwów. Bibl. Nowości. 1833).

J. Krzywicki: (tł.) Tomek: Dzieje królestwa Czeskiego.

H. Wernic: Pierwszy rok nauki systematycznej (Wilno 1883. 1 rubel 50 kop.).

W. K.: Rzeki i jeziora. Tekst objaśniający do mapy hydrograficznéj dawnej Słowiańszczyzny, części północno-zachodniéj wraz z mapą. (1883).

Amatorom ślizgawki polecamy książeczkę prof. gimn. Zaehlera, którą przełożył Przyłbica: „Łyżwiarstwo, czyli sztuka ślizgania się“ (Warszawa. Wende i Sp. 1883). Zarówno dla początkujących jak i wytrawnych już łyżwiarzy jest to poradnik bardzo praktyczny.

Odpowiedzi Redakcyi.

Kol. Stefanowi: Z wiadomem pismem nie polemizujemy. Ubliżałoby nam to. Czytałeś kolega w warsz. „Prawdzie“ o ludziach u których patryotyzm tylko z kontuszówką w parze chodzi. Z tymi nie porozumimy się nigdy. Poczekamy aż wymrą.

Dr. Ł. w Jassach: Dziękujemy za dobre słowo i światłą radę.

Pani Marya J. w Paryżu: Dziękujemy za życzenia i prosimy o poparcie.

Anonimowi: Nie trudź się pan zakłócać anonimową intrygą stosunki prywatne. Nie zda się na nic. Ale radzimy dobrze pilnować incognito.

P. B. w Jankowicach: Pismo założyła młodzież uniwersytecka.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Dr. Jan Jodłowski. — Drukarnia Związkowa w Krakowie. Zarząd A. Szyjewski.